

retycznie, ale ostatecznie udzielono jej sankcji; w ten sposób Koło uznaje, iż solidarność narodowa nie jest absolutną koniecznością walki narodowej, nie jest postulatem uczciwości politycznej, nie jest planem. Na szczęście budzi się reakcja. W *Dzienniku* były poseł Kozłowski w pięknych słowach pletnucje uchwałę Koła. Sferę inteligencji, stojące na gruncie narodowym, czują potrzebę naprawy, wprowadzenia ładu i porządku do naszych stosunków. Coraz silniej domaga się nasze społeczeństwo potępienia organizacji stronnicej, secesyjnej ludowców i oczekuje tylko hasła ze strony ludzi poważnych, aby stanąć w obronie zagrożonych ideałów narodowych.

Wszystko to bardzo piękne i w zasadzie poniekąd słuszne, ale zważyć wypada, że statut jest statutem i zanim nie zreformowano prawa pisanego, uchwałę Koła polskiego nie zarzucić nie można. Owo zaś „prawo moralne, wyższe ponad ustawy pisane”, to pojęcie niezmiernie elastyczne w bojach politycznych. Każde stronnictwo tłumaczy je po swojemu, każdy obóz uważa własne interesy za jedynie moralne. I przekonany jestem najgłębiej, że gdyby np. eks-poseł Cegielski zdobył mandat na podstawie secesji i uzyskał wstęp do Koła polskiego, *Kurjerowi poznańskiemu* nie śniłoby się nawet mówić o „prawie wyższym nad ustawy pisane”. Przeciwnie broniliby nietykalności statutu formalnego i dowodziłyby, że lekceważenie tego statutu jest anarchją niebezpieczną.

Ja osobiście nie entuzjazmuję się wcale osobą p. Kulerskiego, który posiada niewątpliwie talent organizacyjny i agitacyjny, ale razi brakiem kultury umysłowej i niesmaczną efronterją karierowicza. Uznaję jednak, pomimo tych zastrzeżeń, że człowiekowi temu stała się krzywda, bo najwyższą władzą w sprawach wyborczych jest wprawdzie komitet prowincjonalny i zebranie delegatów, lecz najwyższym prawem jest wola ludu, która dla władzy powinna być miarodajną. A wolę tę podeptano. Jeżeli zatem secesja zasługuje na potępienie, to potępić również należy postępowanie komitetu, który, lekceważąc życzenie olbrzymiej większości wyborców, według własnego widzimisię chciał wyborami kierować. Czemuz to wówczas *Kurjer poznański* nie zdobył się na słowo krytyki bezstronnej, czemu frazes o „prawie moralnym”, wyższym nad literę paragrafu, dzisiaj dopiero ukazał się na jego szpaltach?

Drugą sprawą, niepokojącą umysły w tym naszym rozpolitykowanym partycypularzu, jest dziedzictwo parlamentarne po ś. p. Głębockim, który, jak wiadomo, osierocił dwa mandaty: do sejmu i do parlamentu. Stronnictwo zachowawcze pragnie koniecznie zdobyć oba te mandaty dla tych postów

swego stronnictwa, których w ostatnich wyborach wola ludu pozbawiła tytułu poselskiego. Demokracja poznańska natomiast, nie chcąc stracić zdobytej w Kole przewagi, dotoży niewątpliwie wszelkich starań, aby do powrotu dawnych przywódców polityki ugodowej nie dopuścić. Ale partja ta nie ma ludzi odpowiednich do postowania i na tem właściwie polega jej słabość. Wśród inteligencji demokratycznej nie brak wprawdzie mężów zdolnych, którzy mogliby z pożytkiem dla sprawy pracować na arenie parlamentarnej, ale ludzie ci tak ciężko borykać się muszą z trudnościami materialnymi, że przyjęcie mandatu i oderwanie od warsztatów pracy zarobkowej byłoby dla nich zbyt wielką ofiarą. To też stronnictwo ludowe wymienia różne nazwiska kandydatów, nie mając dotychczas żadnej gwarancji, czy którykolwiek z nich podejmie się obowiązków trudnych. Może adwokat Czypicki z Kozmina, może adwokat Karpiński z Gniezna obejmą spadek parlamentarny po ś. p. Głębockim, ale nie pewnego w tej sprawie donieść jeszcze nie mogę.

Wyłoniła się tu także kandydatura Korfantego, który na Szlązku zdobył mandat do parlamentu, a obecnie mógłby w Poznańskim kandydować do sejmu. Projekt ten oczywiście nie znajduje poparcia sfer zachowawczych, ale, co dziwniejsze, nawet w pewnym odłamie demokracji naszej (*Postęp*) wywołał poważne wątpliwości. Lękają się, że niedoświadczenie młodzieńczego parlamentarjuszka może oddać przysługi sprawie publicznej; twierdzą, że trzeba by wprowadzić do sejmu człowieka doświadczonego, zamiast podwójny mandat powierzać młodzikowi, o którym nikt nie wie, czy okaże się godnym położonego w nim zaufania.

Jest w tem stanowisku opozycyjnem niewątpliwie trochę słuszności, ale z drugiej strony zapomniać nie wolno, że wybór posła Korfantego w Poznańskim miałby wielkie znaczenie moralne w stosunku naszym do Szlązka. Byłaby to bowiem publiczna manifestacja jedności szląsko-poznańskiej, której tak długo uznać nie chciano; byłoby to wyznaniem otwartem, że oddać Szlązku wcielony został w sferę interesów polskich i że polacy wszyscy, bez względu na to, czy mieszkają w Poznańskim, czy w Prusach Zachodnich, na Warmji lub na Szlązku, uważają się za jedno społeczeństwo. Poseł Korfanta, piastujący jeden mandat szląski a drugi poznański, byłby niejako symbolem dokonanego obecnie połączenia. Dodam jeszcze, że młody ten polityk jest człowiekiem ubogim, że zdobyty przez niego mandat do parlamentu nie daje mu żadnych djet poselskich, i że ofiarowanie mu mandatu do sejmu, wynagradzającego pracę swych

członków, jest dla niego po prostu kwestją bytu. Nadmienię wreszcie, że kandydaturę Korfantego popiera gorąco poseł Chrzanowski, który w chwili obecnej jest niewątpliwie najcięższą głową w reprezentacji polskiej.

Henryk Sokolicz.

LAUREATKA.

(Z wywiadów dziennikarskich.)

Telegraf rozniósł już po świecie wieść radosną, a nadto napawając serce każdego polaka dumą usprawiedliwioną.

We czwartek ubiegły rozdano w Sztokholmie doroczną nagrodę fundacyjną Nobla, a w szeregu mężów nauki i zasługi, nią uwieńczonych, znalazła się też jedna niewiasta — polka.

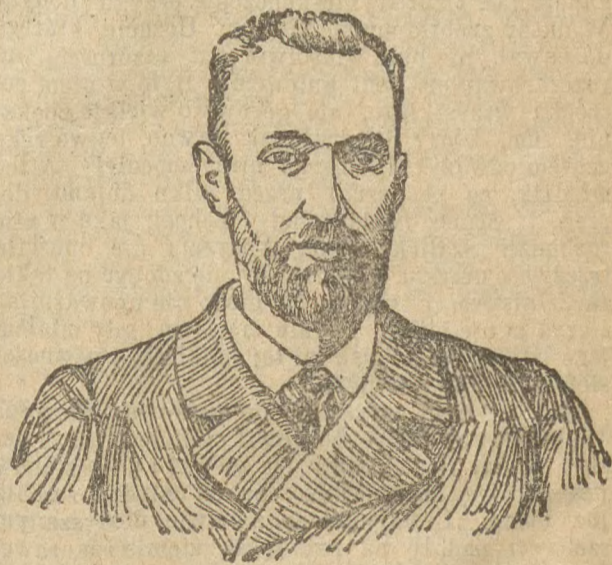
Tą laureatką, wyróżnioną na polu międzynarodowego współzawodnictwa adeptów wiedzy, jest, jak dobrze wiedzą czytelnicy nasi, warszawianka, p. Marja ze Skłodowskich Curie, znana bardziej w kołach naukowych francuskich pod ułatwionem dla nich fonetycznie nazwiskiem „Skłodowska-Curie”.



MARJA ZE SKŁODOWSKICH CURIE.

Zańjemy bardzo, że nie jesteśmy w Paryżu, miejscu stałego zamieszkania naszej młodej, aby móc „pokazać” ją kobietom polskim w „ognisku domowym”, w rodzinie, t. j. tam właśnie, gdzie się ga przedewszystkiem rozplomieniona ciekawość płci słabej względem siostrzycy-rodaczki, tak monej na polu naukowym, tak genialnej w zakresie nauk fizyko-chemicznych.

Jak doszła do tak gruntownego ich posiadania? Co dało jej za to życie? Jak zdołała przytem założyć gniazdko rodzinne, stworzyć dom i zdobyć sławę? Oto pytania, zaciekawiające główki kobiece z pewnością więcej, niż istotna doniosłość odkrycia nowych ciał chemicznych: „radu”, „polonu” i „aktynu”, które p. Marji Curie zdobyły obecnie wspólnie z jej małżonkiem nagrodę Nobla.



PROF. PIOTR CURIE.

Postaramy się na te pytania dać odpowiedź możliwie ścisłą, z uwzględnieniem wszelako... okoliczności obciążających, że wiadomości o życiu i pracach młodej warszawianki zaczerpnąć musieliśmy nie bezpośrednio od niej samej, ani też od jej otoczenia naukowego, lecz od siostry starszej, p. Sta-

starość — starość, z której on jeszcze nie zdawał sobie sprawy, którą lednak postrzegali inni? Śmierci się nie lękał, lecz starości!.. Śmierci się nie lękał, ale życia było mu żal. Pan Andrzej kochał życie. Widział w niem źródło rozkoszy i radości, i pragnął pić z tego źródła jak najdłużej. Miałoby dla niego już suche, nagie dno wycierać?..

Pan Andrzej kochał życie tak, jak je pojmował. Zamożny i niezależny, nie uchylał się od obowiązków obywatelskich, które jednały mu szacunek i dawały stanowisko. W razie potrzeby nie skąpił ofiar pieniężnych. Lecz przedewszystkiem starał się z życia wyciągnąć największą sumę zadowolenia. Czynił to jak dobry i zabiegliwy gospodarz, wystrzegający się pośpiesznej i przedwczesnej dewastacji. Albowiem rozumiał, że w ten sposób korzystać z życia można tylko w miarę sił fizycznych.

Takie pojmowanie życia wytwarzało w panu Andrzejem pobłażliwość i wyrozumiałość dla ludzkich błędów i namiętności. Moralność jego była pogańska. W salonach lubił kokietować wolterowskim sceptycyzmem.

Śmierć? Nie, ten bezkresny wypoczynek w czterech zimnych ścianach, ten sen chłodny i wieczny nie przerażał go zgoła. Było do ostatniego technienia żyć pięknie! Lecz starość, to stopniowe rozpędzanie się krzepkiego ongi gmachu, cegła po cegle, kamień po kamieniu!..

— Muszę mieć gorączkę — myślał pan Andrzej. — A może tylko wielki rozstrój nerwowy?..

Znalazł się przed domem, w którym mieszkał. Zajmował nie wielki, zupełnie oddzielny pawilon, otoczony cienistym ogródkiem. Żelazna sztacheta odgraniczała ogród od podwórza. Pan Andrzej rozwarł furtkę. Uliczka zaślana była liśćmi. Duży kasztan, który zrana jeszcze budził podziw swą gestą, żółtawą czupryną, pokazywał teraz bezwstydnie obnażone gałęzie. Choć wiatru nie było, z drzew co chwila odrywały się liście, i wolno, smętnie leciały ku ziemi. Padały z cichym, ledwie dosłyszalnym szelestem, — i już inne leciały za nimi!.. Błady krąg księżycy przyświecał obojętnie.

Pan Andrzej otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Było ciemno. Pana Andrzeja zdjął niewytłomaczony lęk. Drżącą ręką odszukał świecę i zapalki. Lecz światło błysło, a uczucie lęku nie ustąpiło. Chciał wejść do gabinetu na dole, by zobaczyć, czy nie nadeszły listy, — i wejść nie miał odwagi. Doznawał wrażenia, że tam, za drzwiami, na biurku dopalają się świece, a w fotelu siedzi mężczyzna z posiwiałymi i przeredzonymi włosami, z ramionami opuszczonymi bezwładnie, bardzo smutny i przygnębiony.

I męczył ten — to on sam... Tę trwożę ujrzenia własnego sobowtóra pan Andrzej odczuwał już kilkakrotnie w chwilach ostrzejszego rozstroju nerwowego. Nigdy nie odczuł jej tak silnie. Strach zmoczył mu czoło zimnym potem i trzymał za kark. Pan Andrzej lękał się wejść, a jednocześnie czuł, że wejść musi, bo inaczej przez całą noc męczyłby go obraz tej postaci, wcisniętej w fotel przed biurkiem...

— Czy Mateusz śpi? — zawołał ochrypłym głosem.

Z za kuchni odpowiedział służący.

— Jaśnie pan mnie potrzebuje?

Ten dźwięk ludzkiego głosu uspokoił nieco pana Andrzeja. Przemógł się i nacisnął kłamkę. Odetchnął swobodniej. W gabinecie było ciemno, fotel przed biurkiem był pusty...

...W sypialni pan Andrzej przyszedł do siebie zupełnie. Napięcie nerwów minęło. Pozostało tylko wielkie znudzenie i bezmierna tęsknota. Mimo zgaszonego światła uczucie lęku już nie wracało. Przez szyby zaglądała niebieska noc.

Pan Andrzej jednak zasnąć nie mógł długo. Do rozkołatanego umysłu pchały się bezładne wspomnienia młodzieńczych lat i jednocześnie w uszach zawodził jednostajny, smutny poszum, cichy, lekki szeleść zwiędłych liści, które odrywają się i lecą...

Stefan Krzywooszewski.

nistawowej Szalayowej, znanej pracowniczki tu-tejszej na niwie pedagogicznej i wybornej artystki-miłośniczki dramatycznej.

Dzięki jej uprzejmym wskazówkom mogliśmy wyrobić sobie zupełnie przybliżone pojęcie o indywidualności laureatki nagrody Nobla i poznać drogi, jakimi ku światłu i wawrzynom wiedzy kroczyła.

Już w samej kolebce—rzec można—znalazła p. Marja Curie talizman swojego przyszłego przeznaczenia.

Talizmanem tym byli jej rodzice: ojciec, dobrze pamiętny kilku pokoleniom ostatnim wychowawców szkół warszawskich, ś. p. Władysław Skłodowski, matematyk-przyrodnik, inspektor 2-go gimnazjum męskiego, i matka, ś. p. Bronisława z Boguskich, niewiasta światła, która na stanowisku przełożonej pensji (później p. Budzińskiej) w Warszawie zaskarbić umiała wiele serc, ukształcić wiele dusz szlachetnych i charakterów dzielnych swoich wychowanek.

Wczesnie, za wczesnie może, rozpoczęły naukę dzieci profesorstwa Skłodowskich.

Najmłodsza z czworga — Marja (urodzona d. 7-go listopada, 1868 r.) — pieszczoszka całego domu, mając 4 lata, nauczyła się już sama czytać, a mając lat 9, była już uczennicą 2-jej klasy na pensji p. Smolikowskiej.

Obdarzona wczesnie rozwiniętymi wielkimi zdolnościami, pamięcią i zamiłowaniem do nauki i pracy, odziedziczona z przykładu rodziców, panna Marja Skłodowska wstąpiła do 3-jej klasy III gimnazjum żeńskiego (na Krakowskim Przedmieściu), które w 16-ym roku życia, przechodząc zawsze z klasy do klasy jako pierwsza uczennica, w r. 1884 ukończyła z medalem złotym.

Zamierzając pierwiastkowo pójść w ślady rodziców i poświęcić się niewdzięcznemu zawodowi pedagogicznemu, w r. 1884 p. Skłodowska wyjechała na wieś w Ciechanowskie, gdzie w domu pp. Żorawskich przebyła, jako nauczycielka, przez 4 lata.

Już wówczas jednak zaczęła była myśleć o wyższych studjach uniwersyteckich, do których zresztą zachęcał ją bardzo przykład starszej siostry, studjującej wtedy medycynę, dzisiejszej drowej Dłuskiej.

To też pracowała sama dalej w ciszy wiejskiej nad matematyką i naukami ścisłymi, do których szczególnie żywiła zamiłowanie. Jako przykład zdolności p. Skłodowskiej-Curie z tej doby jej życia posłużyć może fakt, że cały kurs trygonometrii np. przeszła w drodze korespondencji tylko z ojcem swoim, a jako rys jej zadziwiającej pamięci, warto zaznaczyć, że wiersz raz usłyszany, najtrudniejszy, potrafiła nazajutrz ściśle odtworzyć bez zaglądania do oryginału.

Bo też miała umysł i pamięć wyćwiczone prawdziwie gimnastycznie ciągiem, systematyczną nauką i z wielką łatwością, oprócz gruntownej znajomości języków polskiego i rosyjskiego, przyswoiła sobie języki: francuski, niemiecki i angielski, którym włada wybornie.

Tak przygotowana p. Skłodowska, po rocznym jeszcze bakałarstwie w samej Warszawie, w domu pp. Juljanostwa Fuchoś, i po 4-miesięcznym wypoczynku nadwątłego pracą organizmu, w Zakopanem — młodzianka nauczycielka wyjechała w r. 1891 do Paryża i przedzierzgnęła się tam w studentkę.

A ta studentka nie traciła czasu.

We dwa lata, t. j. w najkrótszym terminie, ukończyła najpierw wydział matematyczny w Sorbonie ze stopniem licencjata, a potem jeszcze wydział fizyko-chemiczny — oba z odznaczeniem.

Egzaminy ostateczne na wydziale fizyko-chemicznym odbyła, jako pierwsza z liczby 67 „kolegów”. A odznaczenie licencjatki polegało na tem, że zwrócono jej... opłatę za egzaminy.

Tym sposobem w r. 1895 p. Marja Skłodowska miała już dwa fakultety za sobą a wielką chęć i zamiłowanie pracy twórczej, wynalazczej, przed sobą.

W laboratorium uniwersyteckim, przy studjach nad promieniowaniem niektórych metalów i ich związków, wykrytem przez chemika-francuza Henryka Becquerela, a specjalnie nad promieniowaniem „uranjum”, poznała ona starszego o lat 10 od siebie chemika-francuza Piotra Curie, podówczas jeszcze skromnego nauczyciela szkoły fizyko-chemicznej Laumond, który, zachęcony wynikami badań i odwagą koleżanki w zawodzie, porzucił swoje prace, a przyłączył się czynnie do jej trudów i usiłowań, których wynikiem stało się odkrycie „radu”, „polonu” i „aktynu”. Zdolność promieniowania (emanacji) nowych tych ciał chemicznych, a zwłaszcza radu, przewyższa kilkaset razy odkrytą przez innych badaczy emanację toru i uranu.

Było to odkrycie epokowe, ponieważ ciała podobne, zwane „radio-aktywnymi” zachwiały pojęcia dotychczasowe o istocie materji. Odkrycie to, na razie mające znaczenie teoretyczne, doprowadzić może w niedalekiej przyszłości do zastosowań, które nawet przewidzieć trudno.

P. Skłodowska-Curie położyła zasługę nietylko samem odkryciem „aktynu”, „polonu” i „radu” oraz wydzieleniem jego soli z olbrzymich ilości rud surowych, kilka tysięcy bowiem klgm. materiału daje zaledwie jeden gram „radu”; podała ona nadto ściśle metodę porównywania emanacji ciał rozmaitych.

Cztery lata—jak pisze sama p. Skłodowska-Curie, w rozprawie swojej na stopień doktora nauk fizycznych wydziału nauk w Paryżu, uzyskany w czerwcu r. b.—trwały te studia jej nad nowymi pierwiastkami chemicznymi. Z tych czterech lat—dwa w srogiej o los swój niepewności—spędził p. Piotr Curie, starający się jednocześnie o rękę genialnej polki.

P. Marja bowiem namyslała się tak długo, zanim mu ją wraz ze swoim szczęściem osobistym i poświęceniem małżonki powierzyła. P. Curie był francuzem.

Wreszcie, po rozważnym namysle, para uczonych stanęła na ślubnym kobiercu.

Zasłubiny pp. Curie odbyły się w Sceaux, pod Paryżem, gdzie mieszkają rodzice profesora, we wrześniu 1895-go r.

Odtąd uczony profesor dzielił nietylko znój badań i pracę laboratoryjną ze współniczką odkrycia „radu”, ale także ognisko domowe.

Iniebawem przybyło temu ognisku błogosławieństwo: śliczna córeczka, dziś paniuśka 6-letnia. Osóbka ta mogłaby zaświadczyć, jak godnie i umiejętnie potrafi łączyć matka jej prace naukowe, laboratoryjne, z obowiązkami macierzyńskimi, jak ściśle jednoczy się w organizacji duchowej p. Marji Skłodowskiej-Curie uczona z kobietą.

Sama bowiem chowa i opiekuje się dzieckiem swoim najtroskliwiej; sama w chwilach, gdy wypuści z ręki retorty i epruwetki, chwyta w nie igłę, aby uszyć dla swojej dziecinki sukienkę; sama układa ją do snu, odmawiając pacierz polski; wreszcie sama potrafi być najskrzętniejszą gospodynią i panią domu.

To też w małym domku z ogródkiem jednego z przedmieść Paryża na Boulevard Kellerman panuje spokojne szczęście i wzorowa harmonja.

Daje je przedewszystkiem praca, której oboje małżonkowie oddani są niepodzielnie.

Pani Marja ze Skłodowskich Curie jest bowiem nauczycielką seminarjum nauczycielskiego w Sèvres, dokąd dojeżdża 2 razy w tygodniu na wykłady, lecz, ażeby uzyskać do nich prawo, musiała, niezależnie od pozyskanych stopni naukowych, zdać jeszcze jeden egzamin na „brevet”.

Profesor Curie zaś, liczący teraz lat 46, wykłada obecnie nietylko w szkole fizyko-chemicznej Laumond, ale nadto jest profesorem w Sorbonnie i w politechnice paryskiej.

Jak prace naukowe obojga profesorstwa są cenione we Francji, dowodem suma około 30,000 franków różnych nagród i stypendjów, jakie za nie otrzymali.

Ostatnio nagrodę taką udzielono im też w Londynie, gdzie dzienniki podawały, podczas pobytu profesorstwa Curie nad Tamizą, życiorysy ich z portretami, sławiąc zasługi naukowe naszej rodaczki.

Kiedy mowa o stypendjach, zaznaczyć się godzi, że p. Skłodowska-Curie bezpośrednio po zamążpójściu uważała za swój pierwszy obowiązek zwrócenie stypendjum polskiego, z jakiego korzystała podczas studjów uniwersyteckich w Paryżu w ciągu lat 2-eh, dzięki poparciu ś. p. profesora Jana Karłowicza i profesora Włodzimierza Spasowicza.

Zdawałoby się, że takie oddawanie się naukom ścisłym wylacza zupełnie dążności artystyczne w danej jednostce. Uczona nasza jest tego zaprzeczeniem. P. Curie nie jest wprawdzie muzykalna, ale oddaje się z zapałem rysunkowi, malarstwu rodzajowemu, w których wykazuje także talent, traktując je jednak, jako rozrywkę i wytchnienie po pracy naukowej.

To ostatnie znajduje jeszcze w czem innym — w sporcie.

Uczona laureatka jest zapamiętałą miłośniczką roweru i zawodową zwolenniczką pływania. Na rowerze przebiegła z łatwością razem z mężem setki kilometrów po Francji; ostatnio w ten sposób zwiedziła np. całą Owerneję.

Ale nie wystarczają jej choćby najpiękniejsze krajobrazy, najlepsze drogi i ścieżki obce.

Myślą odbiega od nich często do kraju rodzinnego.

To też niema roku prawie, żeby nie zawitała do

Zakopanego, żeby nie zjechała, choć na krótko, do Warszawy. Tutaj ciągną ją wspomnienia; tutaj łączą ją stosunki rodzinne i przyjacielskie.

Niechże ma tę pewność, że Warszawa matka uważa ją za jedną ze swych cór wybranych, że błogosławi jej pracom i powodzeniom, a raduje się jej tryumfem.

Z. J. Naimski.

Pod czarem przyrody.

O! coraz niżej pochylam dziś głowę
Na pierś twą, mogił piastunko ty cicha,
I patrzę w twoje oblicze surowe,
Pijąc czar marzeń z wieczności kielicha —
Duch tym urokiem oprzeć się nie zdoła,
Gdy z głębin twoich coś szepce, coś woła...

Wszystkie lat tylu gorycze i bóle
I wszystkie ducha porywy, tęsknoty
Tak się ku tobie pochylają czule,
Jak gdyby twojej pragnęły pieszczoty,
Jak gdyby dusza, smutkiem rozżalona,
Chciała paść w twoje matczyne ramiona.

O! coraz niżej ku tobie się chylę,
Słodkich upojen szukając pociechy,
A, gdy spoczywam w twoich prochów pyłe,
Czuję twej piersi gorące oddechy —
I wchłaniam wszystkich żywiołów twych wonie —
I dusza twoja w mojej duszy płonie.

I coraz głębiej w serce me zapada
Cisza twych grobów, łkająca boleśnie,
A gdy zaśpiewa twych piasząt gromada,
To w sercu mojem znów budzą się pieśni...
Świta w mej duszy twych ranków spojrzenie,
Mroki w niej kładą twoich nocy cienie.

Życie na skrzydłach posępnych ulata,
Mnożą się smutki, zawody i bóle...
O! coraz dalej odbiegam od świata
I coraz bardziej do ciebie się tulę —
Aż z czasem duch mój tak w pierś twoją wrośnie,
Że mnie na wieczność przytulisz miłośnie.

Antoni Pilecki.

KORESPONDENCJE

„Kurjera warszawskiego”.

Lwów, 9-go grudnia.

(Piękna uroczystość. — Z życia młodzieży. — Ze sztuki. — Kronika bieżąca.)

Piękny dzień święciło wczoraj Stowarzyszenie kupców i młodzieży handlowej. A jest to instytucja u nas we Lwowie jedna z najstarszych, bo posiada już 230 lat ciekawych dziejów, wiele chwil upadku i wzrostu, zaniku i świetności.

W pierwszej połowie XIX-go stulecia, większość w Stowarzyszeniu stanowili Niemcy, zalewający Lwów olbrzymią falą. Rośnie ona stale do roku 1858-go, potem spada z biegiem lat do zera; od tego też czasu rozpoczyna się rozkwit ciągły Towarzystwa, które przez połączenie się ze Stowarzyszeniem kupców potężnie moralnie i materialnie, nabywa na własność piękny dwupiętrowy dom w śródmieściu, posiada 85,400 koron w gotówce, wspiera siedemnastu emerytów i wdów.

Wczoraj, w dniu Niepokalanego Poczęcia N. Marji Panny, którą młodzież handlowa specjalnem otacza nabożeństwem, odbyło się z ogromną uroczystością poświęcenie nowego berła, starożytnie bowiem pozostaje w przechowaniu w skarbcu miejskim i udzielane bywa handlowcom dwukrotnie w ciągu roku: w d. 8-ym grudnia i na Boże Ciało.

Poświęcenia nowego berła dokonał osobiście ks. arcybiskup Bilczewski, wygłaszając prześlizną mowę.

Przed kilku dniami odbyło się w murach uniwersyteckich zebranie studentek, które uchwaliło domagać się możliwie rychłego otwarcia gimnazjów klasycznych dla kobiet.

Młodzież akademicka rusińska, z powodu zbliżającej się imatrykalacji, znowu zaczyna burzyć się i spiskować po kątach. Jak wiadomo, ministerjum oświaty odrzuciło rekurs, polecając składanie ślubowin akademickich w języku polskim, przeciw czemu agitują rusini. Władza uniwersytecka oświadczyła z całą stanowczością, że słuchacze, którzyby usunęli się od imatrykulacji, tracą tem samem prawa uniwersyteckie.

Sztuka święciła w dniach ostatnich sukces na kilku polach. W nowym teatrze wznowiono po raz